

[...] Szczerze nienawidzę Jamiego. Jest najbardziej irytującym sąsiadem z ławki, jakiego można sobie wyobrazić. Bez przerwy zgłasza się do odpowiedzi i robi ręką taki wiatr, że siedzę w nieustannym przeciągu. A za każdym razem, kiedy poda prawidłową odpowiedź – czyli, motyla noga, prawie zawsze – cały zadowolony z siebie kiwa głową, jakby chciał powiedzieć: patrzcie tylko, jakim jestem superinteligentnym mądrąłą.

Byłam wściekła, kiedy panna Beckworth zadała nam na lekcji pracę pisemną i Jamie od razu zaczął pisać, aż mu podrygiwało to jego ekskluzywne wieczne pióro, podczas gdy my wszyscy drapaliśmy się jeszcze w głowy, wyznaczaliśmy marginesy i gapiliśmy się na zegarki, zastanawiając się, ile czasu zostało do przerwy.

Byłam też wściekła, gdy panna Beckworth oddała Jamiemu jego pracę, z ptaszkiem widniejącym przy każdym akapicie i komentarzem: „Bardzo ładnie, Jamie” na dole strony. Ja dostałam mnóstwo krzyżyków i: „Powinnaś się bardziej starać, Charlotte”, a także: „Wyjątkowo niechlujna praca” oraz: „Kulfontaste i rozstrzelone pismo na nic się nie zdało; i tak wiem, że poświęciłaś tej pracy co najwyżej pięć minut. To stanowczo za mało!”

A ja nie chciałam zaprzętać sobie głowy niczym innym poza zbieraniem informacji o epoce wiktoriańskiej. Pisanie referatu zaczęło mi sprawiać pewną przyjemność. Dziwne. Czytałam różne książki, a potem zaczynałam pisać i było tak, jakby ta dziewczyna pisała całkiem sama. Ta służąca, Lottie – opiekunka do dzieci. Zaczęłam myśleć, że jest prawdziwa, i czułam się, jakbym ją znała całe życie. Jakbym znała ją nawet lepiej niż Lisę czy Angelę. Chwytałam za ołówek i jej słowa same układały się na papierze.

Nie mogłam znieść myśli, że panna Beckworth mogłaby popstrzyć ten pamiętnik swoimi czerwonymi uwagami. Był czymś osobistym. Na szczęście nie musieliśmy jej pokazywać naszych prac przed ich ukończeniem, a na to mieliśmy jeszcze kilka tygodni.

Oczywiście Wiecie-Kto już prawie skończył pisać swój referat i wcale nie chciał go zachować tylko dla siebie. Chwalił się nim wszem i wobec przy każdej okazji. Podczas przerwy obiadowej miał go ze sobą nawet w stołówce. Wprawdzie tylko raz. Akurat dławiałam się paluszkami rybnymi i musiałam go jak najszybciej popić colą, w pośpiechu przewróciłam puszkę i maciupeńka

drobinka piany prysnęła na cenne dzieło Jamiego. Skalała je tylko od zewnątrz, ale Jamie powiedział, że jego elegancka okładka z kartonu imitującego marmur została bezpowrotnie zniszczona. Następnego dnia przyniósł swój referat w zupełnie nowej okładce z tektury z nadrukiem jak z wiktoriańskich papierów do pakowania prezentów: tłuste dziewczynki w czepkach i falbaniastych sukienkach oraz kiczowaci chłopcy w marynarskich ubrankach, ohyda. Cały środek wypełniały stroniczki zapisane jedna po drugiej starannym pismem Jamiego (niebieski atrament) i bogato przez niego ilustrowane – były tam rysunki lokomotyw, szybów kopalnianych i przemysłowych warsztatów tkackich, misternie wykonane tuszem. Brakowało tylko kolejarzy, górników i tkaczy, bo Jamie nie umie rysować ludzi.

– Mogę ci ich dorysować, jeśli chcesz – zaproponowałam.

Jamie odrzucił moją szlachetną propozycję pomocy. Nie ufa mi. Ciekawe, dlaczego!

Do swojej pracy wkleił też mnóstwo prawdziwych ilustracji, wyciętych z autentycznych wiktoriańskich gazet, oraz próbki tapet projektu Williama Morrisa i dziewiętnastowieczne fotografie rodzin, pozujących sztywno w swoich najlepszych strojach, a nawet prawdziwe monety z epoki, pieczołowicie zabezpieczone taśmą klejącą. Jego album już dosłownie pękał w szwach. A mój zeszytek był mały i cienki, jak dotąd zapisałam w nim tylko kilka stron.

– Jak na razie nie za wiele zrobiłaś, Charlie – powiedział Jamie, kiedy udało mu się porwać z ławki mój notatnik i szybko go przekartkować.

– Odda w a j! – zawołałam, próbując mu go wyrwać.

– Dlaczego piszesz ołówkiem? O czym będzie twój referat? Wygląda jak pamiętnik. „Nie wydaje mi się, żeby imię Lottie było odpowiednie dla służącej”. Co to w ogóle jest? – dopytywał się Jamie, trzymając zeszyt tak, że nie mogłam go dosięgnąć.

– Nie waż się tego czytać! – ryknęłam i wymierzyłam mu tak siarczysty policzek, że notatnik wypadł mu z ręki.

– Auuu! A to za co? – wystękał, trzymając się za policzek.

– Ostrzegałam cię! – powiedziałam wojowniczo, tuląc mój zeszyt do piersi.

– Jesteś nienormalna! Gdybyś nie była dziewczyną, oddałbym ci z pięści! – odgrażał się Jamie.

Na policzku miał jasnoczerwoną plamę w kształcie mojej ręki. A w oczach – łzy. Trochę się zaniepokoiłam. Nie chciałam go uderzyć aż tak mocno.

– Wał, proszę bardzo, ale prywatnie raczej odradzam – stwierdziłam. – Po prostu raz na zawsze przestań wtykać nos w moje sprawy, jasne?

– To przecież tylko szkolny referat, na miłość boską! Który zresztą piszesz źle, zupełnie inaczej, niż kazała pani Beckworth.

– Piszę go po swojemu – powiedziałam.

– Będziesz miała kłopoty.

– No i co z tego – podsumowałam.

W tej samej chwili do klasy weszła panna Beckworth. Rzuciła nam przelotne spojrzenie – i skupiła wzrok na twarzy Jamiego.

– Co ci się stało, Jamie? – zapytała.

Wstrzymałam oddech. Wyglądało na to, że moje kłopoty zaczną się natychmiast. Byłam pewna, że Jamie naskarzy. Wyglądał, jakby miał taki zamiar, ale w końcu wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową.

– Nic takiego, proszę pani – powiedział.

Byłam zdumiona. A moje zdumienie wzmogło się jeszcze, kiedy panna Beckworth postanowiła nie drażnić tematu. Uniosła tylko brwi, jakby mówiła „No pewnie”, ale usiadła przy biurku i zaczęła lekcję.

Jamie od razu zabrał się do pracy; jego policzek nadal płonął. Przyglądałam mu się przez chwilę i walczyłam z sobą. Wreszcie pochyliłam się w jego stronę. Jamie aż się wzdrygnął, tak jakby się bał, że znowu mu przywalę.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że cię uderzyłam? – spytałam szeptem.

Zamrugął nerwowo.

– Bo nie jestem skarżypytą – odpowiedział.

– Aha. Dzięki – wymamrotałam.

Tym razem nic nie powiedział, ale jego drugi policzek też zrobił się czerwony.

Być może Jamie nie jest w stu procentach wstrętny, okropny i irytujący. Tylko w dziewięćdziesięciu dziewięciu. Ale nigdy w życiu nie czekałabym w takich nerwach na telefon od niego!

Nikt nie zadzwonił. Ani jedna osoba nie zechciała skorzystać z usług silnej i godnej zaufania uczennicy.

– To może sama do niego zadzwoń? – poradziła mi Jo, która wciąż żywiła się swoimi idiotycznymi złudzeniami.

Lecz następnego dnia pani Pease, nasza sąsiadka z dołu, zaczęła się na Jo, kiedy ta ciężkim krokiem wracała z porannej zmiany w supermarkecie.

– Pani Pease chciałaby zamienić z tobą słówko, Charlie – poinformowała mnie Jo z rękoma opartymi na biodrach.

– Jeśli znowu chce mnie ochrzanić, że za głośno słucham muzyki, to widocznie zgłupiała. Włączyłam płytę tak cicho, że sama prawie nic nie słyszałam. Chyba ma uszy jak słon Dumbo – stwierdziłam, przeżuając tost.

Jo porwała mi z talerza jego drugą połowę.

– Podziel się posiłkiem ze swoją biedną, zaharowaną matką – powiedziała. – Umieram z głodu.

– Ja też. Sama sobie zrób, muszę już iść do szkoły.

– Cóż, chyba będziesz musiała chwilkę zaczekać. Pani Pease powiedziała mi, że nagabujesz sąsiadów.

– Że co? – zapytałam.

– Takiego właśnie słowa użyła – stwierdziła Jo. Starła się udawać zagniewaną, ale wyglądała tak, jakby lada chwila miała wybuchnąć śmiechem. – Wyraziła się dokładnie tak: „Josephine, naprawdę muszę poddać ci coś pod rozwagę. Otóż Charlotte zaczęła nagabywać ludzi” – głos Jo zadrżał.

Ostrożnie zachichotałam. I to był błąd.

– To nie jest śmieszne, Charlie. Co chciałaś osiągnąć, zostawiając w skrzynkach naszych sąsiadów ogłoszenia, że poszukujesz pracy?

– Chciałam ci tylko pomóc.

– Och, Charlie. Co za głupol z ciebie! Pani Pease ten jeden raz w swoim długim i nudnym życiu ma zupełną rację. Nie możesz się reklamować w ten sposób, a już zwłaszcza w sytuacji, kiedy wokół mieszkają różne podejrzane typy. Jakiś zboczeniec może przeczytać ogłoszenie, że mała uczenniczka poszukuje pracy, i wpaść na jakiś zwyrodniały pomysł!

– Nie jestem małą uczenniczką. Jestem już duża. I silna. Ale rozumiem, o co ci chodzi – nie masz się czym martwić: nikt do mnie nie zadzwonił. Straciłam

masę pieniędzy na kserowanie ogłoszeń i w ogóle nikt się nimi nie zainteresował. Co za głupota. Chciałam zarabiać, a nie tracić.

– Nie przejmuj się; zarabianie pieniędzy to przecież moje zadanie. A twoje ogłoszenie nie przeszło całkiem bez echa: pani Pease mówi, że ma dla ciebie pracę.

– Naprawdę? – Próbowałam się ucieszyć, ale pani Pease jest po prostu okropna. To jedna z tych staruszek, które poklepują mnie po głowie, jakbym była szczeniakiem, i niezmiernie pytają, ile mam lat, tak jakbym mogła postarzeć się o pięć od czasu, kiedy widziałyśmy się w zeszłym tygodniu.

Cóż, służba nie drużba.

Tyle że ta praca była wyjątkowo przykra. Nie zgadnicie, jakie zadanie wymyśliła dla mnie pani Pease. Kazała mi sobie czytać.

Właściwie nigdy nie lubię czytać głośno. Nie lubię swojego głosu, który przy lekturze robi się jakiś głupi i sztuczny. Nawet wtedy, kiedy sama mogę sobie wybrać książkę. Ale pani Pease zażyczyła sobie, żebym jej czytała książkę specjalnie wypożyczoną z biblioteki, taką z dużymi literami i w dużym formacie, od której trzymanie bolą ręce. Rozbolały mnie nie tylko ręce, ale także plecy, głowa i gardło; po godzinnej lekturze sforsowałam się tak, że bolało mnie całe ciało.

Czytałam jej jakąś zupełnie kretyńską opowieść o pewnej nawiedzanej kobiecie, która uciekała przed swoim szalonym prześladowcą przez pustynię, ubrana tylko w koszulę nocną w prążki (tak przynajmniej sportretowano ją na okładce). Kiedy ją dogonił, bohaterka zamiast powiedzieć mu wyraźnie, żeby się wreszcie odczepił, uśmiechnęła się głupio i padła zemdlona na piasek. Poważnie. A pani Pease była najwyraźniej oczarowana tą szmirą. Siedziała w fotelu i dosłownie cmokała z zachwytu – chociaż to chyba raczej z powodu czekoladek Cadbury, którymi się raczyła. W ciągu godziny zjadła dobre pół bombonierki.

– Oczywiście poczęstowałabym i ciebie, Charlie, ale chyba nie mogłabyś czytać z pełną buzią, prawda, kochanie? – zapytała.

– Mogłabym spróbować – odparłam z nadzieją w głosie.

Najwidoczniej pomyślała, że żartuję. A ja pomyślałam, że ona żartuje, kiedy mi wręczyła wynagrodzenie za mój lektorski trud.

– To dla ciebie, słoneczko – powiedziała, grzebiąc w portmonetce, po czym wręczyła mi dziesięć pensów.

Zrobiłam wielkie oczy. Chciała mi dać funta i pomyliły jej się monety? Nawet jeśli tak, cóż to za straszliwe sknerstwo!

– Wrzuć to sobie do skarbonki, skarbie – uśmiechnęła się pani Pease. – I wpadnij poczytać mi jutro.

Niedoczekanie! Byłam okropnie przygnębiona, a kiedy jeszcze Jo się uśmieła z mojego nieszczęścia, zrobiłam się dodatkowo wściekła. Za to Jo była w świetnym humorze, bo dostała kolejną pracę – sprzątanie w eleganckiej rezydencji przez trzy dni w tygodniu, od dziesiątej do dwunastej.

– Mam trzy posady! – zawołała i zamówiła dla nas pizzę z trzema rodzajami dodatków, żeby to uczcić.

– Wykończysz się! – powiedziałam. – Przecież już i tak musisz wstawać o piątej i sprzątać w supermarkecie, a popołudniami opiekujesz się tym głupim bachorem.

– Dam sobie radę. A ta nowa praca to łatwizna – wprawdzie dom jest duży, ale utrzymany w idealnym porządku. Jego właścicielka bardzo niechętnie zatrudnia kogoś, kto będzie ją wyręczał przy sprzątaniu. Jestem pewna, że zanim się pojawię, osobiście odkurzy wszystkie kąty.

– Gdzie jest ten dom? – zapytałam z ustami pełnymi ciągnącego się sera.

– Przy Oxford Terrace – odparła Jo.

Spojrzałam na nią jak ogłuszona; niedojedzony kawałek pizzy wyślizgnął mi się z rąk i spadł na podłogę. Nie przejęłam się tym. Straciłam apetyt.

KUCHNIA

Och, jakże tęsknię za domową kuchnią! Za gulaszem mojej Matki z kaszą jęczmienną i marchewką! Albo za zapiekanką z królika. Matka piecze też niezrównane ciasta, jej tarty z owocami słyną na całą wieś. A jej pudding na łożu! Co ja bym dała za porcję puddingu z kremem budyniowym i dżemem! Lub chociaż za solidną pajdę chleba z sosem pieczeniowym...

Tutaj muszę kroić chleb tak cienko, że zdarza mi się przy tym pokaleczyć, a Louisa i tak nie tknie nawet najcieńszej kromki ze skórką. Niemowlę lubi tylko chleb rozmoczony w ciepłym mleku. Matce nigdy nie przysłoby do głowy tak się z nami cackać. Zawsze z wdzięcznością zjadaliśmy to, co nam podała. A przynajmniej najczęściej. Tymczasem Louisa zawsze bawi się jedzeniem, płacze i wiecznie na coś wybrzydza, a i Victor jak na chłopca jest nad wyraz wybredny, awanturuje się, jeśli znajdzie w budyniu choćby małą grudkę. Czasem z wielkim trudem powstrzymuję się przed odebraniem im talerzy i zjedzeniem wszystkiego sama, taka jestem głodna. Żyję tu na dziecięcym wikcie: przez cały tydzień mięsa ani kęsa, a w niedzielę tylko jeden plasterk pieczeni. Wolno mi też zjeść jedno jajko tygodniowo, bardzo blade i wodniste w porównaniu z jajami o pomarańczowych żółtkach, jakie znoszą kury u nas w domu.

Muszę wytrwać na tej wyszukanej diecie, okraszonej tylko małym kawałeczkiem masła. Jedynie puddingu na mleku mam pod dostatkiem. Zapewne wkrótce zacznę muczeć.

– Chcemy ci oszczędzić sensacji żołądkowych, wywołanych zbyt tłustą strawą – tłumaczy mi pani, tak jakby żołądki służących różniły się od żołądków osób z wyższych sfer.

Pani Angel, kucharka, i pokojówka Eliza rzekomo też poddają się tej drakońskiej diecie, ale one swoje posiłki jedzą w kuchni, a pani Angel ma niebywałą wprawę w wybieraniu najlepszych kąsków i zachowywaniu ich na własne potrzeby, zanim jeszcze Eliza zanieśnie państwu posiłek do jadalni. Ja jadam razem z dziećmi w pokoju dziecięcym, więc nic mi nie skapuje z pańskiego stołu. Zresztą pani Angel i Eliza traktują mnie jak dziecko. Szepczą między sobą, nie dopuszczają mnie do swoich tajemnic i śmieją się złośliwie z moich uwag. Obie są wyjątkowo irytujące; to one zachowują się jak dzieci. Bardzo się staram je ignorować, ale wtedy pani Angel nazywa mnie małą obrażalską, a Eliza ciągnie mnie za włosy, tak że wymykają mi się spod czepka. Czasami już nie mogę tego wytrzymać. W domu zawsze byłam ukochaną córką, a w szkole – ulubienicą panny Worthbeck. Wszystkie dzieci bardzo mnie lubiły, nawet chłopcy. Tak, nawet ten gbur Edward James darzył mnie sympatią. A teraz znalazłam się w powszechnej pogardzie i pęka mi serce. Nocami płaczę w poduszkę, z kołdrą naciągniętą na głowę, tak żeby dzieci mnie nie usłyszały.

Któregoś ranka Victor zauważył moje czerwone oczy i stwierdził, że buczałam.

– Nic podobnego – zaprzeczyłam stanowczo. – Po prostu trochę się przeziębiam.

Powiedziałam to chyba w złą godzinę. Choroba złożyła do łóżka wszystkich domowników, nawet mały Freddie słabuje. Pani Angel też się rozchorowała i Eliza z wielką niechęcią musiała przejąć jej obowiązki w kuchni. Pani przykazała, żeby jej niedomagające dzieci do każdego posiłku dostawały galaretę z cielęcych nóżek. Poprosiłam Elizę, żeby ją przygotowała, odmówiła mi jednak, twierdząc, że ledwie daje radę z wykonywaniem swoich zwykłych zadań i żadną miarą nie zniesie babrania się w górze ohydnych mięsnych odpadów.

W tej sytuacji musiałam przyrządzić galaretę osobiście. Nóżki gotowały się bez końca, smród wypełnił całą kuchnię, para osadziła się na ścianach, które zaczęły lśnić, a ja cierpliwie zbierałam szumowiny. I zbierałam, i zbierałam, i zbierałam. I kiedy już szłam precedzić gotowy wywar, zadrżały mi ręce... i katastrofa! Zanim wróciłam od rzeźnika z kolejnymi sześcioma cielęcymi nóżkami i zaczęłam gotowanie od początku, byłam już w tak podłym nastroju, że ucieszyłabym się, gdyby do tego domu wtargnęło całe stado cieląt i stratowało wszystkich swoimi biednymi kopytkami.

KSIĄŻKI I ZABAWKI

Przeraziłam się nie na żarty! Jo mogła przecież sprzątać w domu Jamiego Edwardsa! Już go sobie wyobrażam, rozpartego na wyściełanym aksamitem szezlongu pośrodku tego ich eleganckiego salonu z tapetą Williama Morrisa, jak przywołuje Jo władczy pstryknięciem palców:

– Hej, ty tam! Sprzątaczek! Przynieś mi jeszcze jedną poduszkę – komenderuje. – Nakruszyłem na cały dywan, więc ruszaj się żwawiej z tym odkurzaczem. I nie wzdychaj tak, bo ci obetnę pensję.

Potrafię to sobie wyjątkowo plastycznie wyobrazić. Biedna Jo musiałaby pracować ubrania Jamiego, słać jego łóżko i ścierać kurz ze wszystkich należących do niego przedmiotów. A jeśli Jamie ma gromadę rozwydrzonego jak on sam młodszego rodzeństwa, Jo musiałaby pracować także ich rzeczy, słać ich łóżka i odkurzać ich zabawki. Jeśli zaś któreś z nich jest jeszcze niemowlakiem, to pewnie trzeba je będzie nie tylko opierać, ale także przewijać i podcierać.

– Nie chodzi o dom tego twojego Jamiego – powiedziała Jo. – Będę sprzątała w domu państwa Rosen, którzy mieszkają z dwiema nastoletnimi córkami.

Tak mi ulżyło, że o mało nie zemdlałam.

– Rozczarowana? – zapytała Jo. – Miałas nadzieję, że będę mogła zajrzeć do pokoju Jamiego, żeby ci powiedzieć, jakie plakaty powiesił sobie na ścianach, czy na jego łóżku siedzi jeszcze pluszowy miś, a może nawet liczyłaś, że ukradkiem zajrzę do jego pamiętnika, żeby się przekonać, czy pisze coś o tobie, co?

– To nie jest mój Jamie! – wrzasnęłam z rozpaczą. – Zwariowałaś, Jo? Przecież ci powtarzam, że go nie cierpię!

Jo nie jest jedyną osobą, która mi dokucza z powodu tego okropnego Jamiego Edwardsa. Lisa i Angela też podjęły tę głupią śpiewkę. Zaczyna mnie to coraz bardziej irytować. Nie mam pojęcia, co w nie wstąpiło w tym roku. W poprzedniej klasie wszystkie trzy byłyśmy prezeskami klubu, który skupiał prawie wszystkie znajome dziewczyny, i miałyśmy specjalną klubową odznakę z napisem „Dzika jak DZIG”. „DZIG” był skrótem, mającym przypominać o pierwszej linijce naszego klubowego hymnu, który sama wymyśliłam: DZIEWCZYNY GÓRĄ, CHŁOPAKI – DOLINĄ, CHCESZ SIĘ ROZSTAĆ ZE SKÓRĄ, ZADZIERAJ Z DZIEWCZYNĄ!

Niektóre z naszych koleżanek znudziły się i odeszły z klubu, ale Lisa, Angela i ja trwamy w nim niezłomnie i wszystkie trzy zawsze pokazujemy język i robimy głupią minę, kiedy jakiś chłopak się do nas odezwie. Postulowałam objęcie tym wzorcem zachowania także wszystkich mężczyzn, ale Lisa powiedziała, że to głupie, bo chociaż jej tata jest mężczyzną, ona kocha go najbardziej na świecie. Angela okazała się równie beznadziejna, bo zakochała się akurat w jakimś piosenkarzu i kiedy tylko widziała go w telewizji, od razu zaczynała piszczeć; cały swój pokój wytapetowała jego zdjęciami i każde z nich całowała przed pójściem spać, a na wszystkich szkolnych książkach i zeszytach, na linijce, torbie, a nawet na rękawie kurtki wypisała tuszem połączone imiona jego i swoje (i wtedy jej mama naprawdę się wściekła).

Lisa i ja byłyśmy zdania, że Angela zgłupiała z kretesem, bo ten jej idol był po prostu żałosny. Angela po pewnym czasie przyznała nam rację; podarła wszystkie jego zdjęcia, wykreśliła jego imię i zaczęła nosić inną kurtkę – ale

teraz zadurzyła się w całym zespole, grającym muzykę pop, i bez końca opowiada nam, co by zrobiła, gdyby tylko miała okazję spotkać się z tymi muzykami, co jest koszmarnie nudne.

Wiem, że gdybyśmy siedziały razem w ławce, tak jak to było zaplanowane, wywarłabym na Angelę dobry wpływ i zdołałabym opanować te jej wyskoki. Angela zaczęła mi do tego stopnia działać na nerwy, że zastanawiałam się, czyby nie ograniczyć liczby moich najlepszych przyjaciółek do jednej. Ale wtedy Lisa też się zakochała. I to było jeszcze gorsze. Bo Lisa straciła głowę dla Davida Wooda, który nie jest żadnym gwiazdorem popu, tylko beznadziejnie nudnym chłopakiem z naszej klasy.

– Wcale nie jest beznadziejnie nudny! – zaprotestowała Lisa. – Jest wyjątkowo fajny. I ma fantastyczne włosy. I oczy. I wygląda naprawdę dorośle jak na swój wiek, bo jest bardzo wysoki, może nie?

– Może i wygląda dorośle, ale zachowuje się jak przedszkolak – powiedziałam z odrazą. – Widziałas, jak w stołówce rzucał się z kumplami jedzeniem?

– To była tylko taka zabawa – wzruszyła ramionami Lisa. – Jedna z jego frytek wylądowała prosto na moich kolanach!

– O rany! I jak zdołałaś opanować podniecenie? – zapytałam zgryźliwie.

– Zjadła ją! – powiedziała Angela. – Taką oślinioną!

– To mi w ogóle nie przeszkadza. Najlepiej, żeby się ślinił na mój widok – stwierdziła Lisa.

– Och, daj już lepiej spokój – powiedziałam. – Doprawdy! Miałaś tego lata lobotomię czy co?

– Lobo-co? – nie zrozumiała Lisa.

– Operację mózgu – wyjaśniłam. – Dlaczego ty nigdy niczego nie wiesz?

– Wiem jedno, Charlie Enright. Robisz się naprawdę nie do wytrzymania, ciągle się popisujesz i wszystkich traktujesz z góry. Zupełnie jak Jamie Edwards!

– No właśnie, może to zaraźliwe, bo przecież razem siedzą – skomentowała Angela, śmiejąc się tym swoim idiotycznym śmiechem. – Charlie i Jamie, dobrana para, co?

– Mają sobie mnóstwo do powiedzenia, gadają jak najęci. Ostatnio pani Beckworth musiała im zwrócić uwagę, tak ich poniosło – powiedziała Lisa, szturchając Angelę porozumiewawczo.

– Skoro już mowa o ponoszeniu, tobie grozi, to pilnuj się za chwilę poniosą Ciebie – w worku na zwłoki! – odcięłam się, dając im obu po moim porozumiewawczym szturchańcu. A mam bardzo kanciaste łokcie. – Prawie w ogóle się nie odzywam do Jamiego Edwardsa, a jeśli już, to tylko po to, żeby się z nim ostro pokłócić!

A jednak musiałam się spokojnie i prawie po przyjacielsku rozmówić z Jamie, żeby się dowiedzieć, gdzie dokładnie przy Oxford Terrace mieszka. Jamie wie, jak wygląda Jo. Od małego chodzimy do tej samej szkoły. Nasze mamy przyprowadzały nas i odbierały przez całe lata. Zauważyłam, że mama Jamiego jest jak on trochę przy kości i tak jak on ma bardzo wyraziste oczy, wyróżnia ją też bujna grzywa oraz pulowery, rajstopy i buty w krzykliwych, zupełnie do siebie niepasujących kolorach. A Jamie najprawdopodobniej zauważył, że Jo jest dużo młodsza od innych mam, farbuje włosy, żeby były podobne do moich, i nosi buty na wysokim obcasie, żeby wydawać się chociaż trochę wyższa niż jest.

Strasznie trudno jest zacząć spokojną i prawie przyjacielską rozmowę z kimś, kogo się nie cierpi. Na lekcjach panny Beckworth ledwie można oddychać, a co dopiero rozmawiać. Dlatego kiedy przyszedł czas na przerwę, bardzo długo pakowałam swoje rzeczy, tak żeby Lisa i Angela wyszły beze mnie. Jamie też nigdy się nie spieszy, bo nie lubi wychodzić na boisko. Nie przepada za zabawami na świeżym powietrzu. W piłkę gra beznadziejnie, nie umie nawet porządnie biegać, taki jest niezgrabny. Nie jest klasowym kozłem ofiarnym, ponieważ potrafi się błyskawicznie i złośliwie odgryźć, ale nie jest też zbyt popularny wśród kolegów (inaczej niż niektórzy, o których nie wspomnę, żeby się paskudnie nie przechwalać).

Jamie zwykle zaszywa się w jakimś kąciez książką. Teraz też wyciągnął książkę z torby. Była obłożona wiktoriańskim papierem do pakowania prezentów, więc nie mogłam przeczytać tytułu.

– Co czytasz, Jamie? – zapytałam.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– A co?

– Rany, tak tylko pytam, z ciekawości – powiedziałam.

– Boję się, że te rany można potraktować dosłownie – stwierdził.

– Oj, pokaż mi – nalegałam, wyciągając rękę.

Ociągał się; odsunął się razem z książką.

– A co, przylejesz mi, jeśli ci nie pokażę? – spytał.

– To była inna sytuacja. Chodziło o moją książkę. Co takiego jest w twojej? Dlaczego ją owinałeś papierem? Hej, to pewnie coś nieprzyzwoitego, tak? A to dopiero, stary kujon Jamie czyta świńską książkę! Skandal! To dlatego nie chcesz, żeby ktokolwiek wiedział, co czytasz! Co to takiego? Pokaż mi!

– Spadaj! – Jamie próbował się opędnąć, ale można było wyczuć na kilometr, że ciągle się mnie boi. Bez trudu wyrwałam mu książkę i zajrzałam do środka.

– George Moore, *Esther Waters* – przeczytałam i przerzuciłam kilka kartek.

– Co za rozczarowanie! To jakaś nudziarska wiktoriańska powieść. Typowe. Po prostu dalej zakuwasz do swojego referatu, tak?

– Wiktorianie uważali, że to skandalizująca książka – powiedział Jamie. – Wzbudziła sporo kontrowersji, kiedy wyszła.

– Och, dla nich wszystko było kontrowersyjne, dla przyzwoitości zasłaniali nawet nogi od fortepianu! Jeśli kobieta podniosła spódnicę kilka cali ponad kostkę, faceci prawie mdleli z wrażenia – stwierdziłam pogardliwie. – Co takiego zrobiła ta skandalistka Esther Waters? Była tak bezwstydna, że odważyła się pokazać kolana?

– Bardzo śmieszne – powiedział z rezygnacją Jamie.

Zauważyłam, że jego zakładka tkwiła sporo za połową książki.

– O kurczę, aż tyle przeczytałeś? Przecież to wygląda na okropnie nudne i trudne! Nie masz co robić w domu? – zdziwiłam się.

– To całkiem niezła powieść – stwierdził Jamie. – Opowiada o dziewczynie imieniem Esther...

– No nie mów!

– ...która jest służącą i...

– Jest służącą? – zapytałam i z miejsca przestałam się wyłośliwiać.

– Tak, i pracuje w dużym majątku na wsi, tam zaleca się do niej jeden lokaj, ona go tak naprawdę nie chce, ale on ją zmusza, Esther rodzi synka i nie wie, co

robić dalej, bo jest młoda, niezamężna i właśnie straciła pracę... Dlaczego tak się na mnie gapisz? – spytał Jamie. – O co ci znowu chodzi?

– O nic. Wygląda na to, że ta książka nie jest aż taka nudna, jak myślałam. Może pożyczysz mi, jak skończysz?

Zwykle czytam horrory, im straszniejsze, tym lepsze, ale zaciękawiała mnie historia tej Esther.

– I co się z nią dzieje dalej? Decyduje się zatrzymać dziecko? Znajduje pracę? Chyba na końcu nie wychodzi za męża, co?

– Nie wiem, jeszcze nie doczytałem. Zgoda, pożyczę ci ją, jak skończę. Albo jeszcze jakieś inne książki, jeśli chcesz. Wyszukałem sobie całkiem sporo wiktoriańskich powieści z myślą o moim referacie.

– Jakbyś mógł – ucieszyłam się. I wtedy przyszła mi do głowy myśl, że właśnie nadarza się świetna okazja, żeby go podpytać. – A może złożyłabym ci kiedyś wizytę w tym twoim słynnym wiktoriańskim domu i sama obejrzała twoje zbiory? Pod jakim numerem przy Oxford Terrace mieszkasz?

– Pod sześćdziesiątym drugim – powiedział Jamie.

Poczułam, jak ściska mi się żołądek. Pod sześćdziesiątym drugim. Rosenowie, u których sprząta Jo, mieszkają pod pięćdziesiątym ósmym, to tylko dwa domy dalej. Co będzie, jeśli Jamie zobaczy, jak Jo do nich przychodzi? Co będzie, jeśli mama Jamiego wpadnie na kawę do swojej sąsiadki, pani Rosen, akurat wtedy, kiedy Jo będzie zasuwała ze ścierką do wycierania kurzu? Co będzie, jeżeli mama Jamiego uzna, że Jo obchodzi się z odkurzaczem jak prawdziwa profesjonalistka – i zaoferuje jej pracę? Jestem dumna z tego, że Jo tak ciężko pracuje, ale nie mogę znieść myśli, że miałyby sprzątać brudy Jamiego.

– Czy twoja mama ma sprzątaczkę? – wypaliłam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Jamie zamrugał powiekami ze zdumienia.

– Co? Dlaczego? Boisz się, że się pobrudzisz, kiedy do mnie przyjdiesz?

– Czy twoja mama sprząta sama? – domagałam się odpowiedzi.

– Nie. Mama ma dwie lewe ręce do prac domowych. Kiedyś mieliśmy panią do sprzątania, ale się rozchorowała i...

– Chyba nie szukacie następnej? – zapytałam ze zgrozą.

– Teraz sprzątaniem zajmuje się głównie mój tata. Odkurza i tak dalej. Mamie zdarza się sprzątać łazienkę, a mój brat i ja mamy wyznaczone stałe obowiązki, ale przeważnie się migamy. Czemu pytasz?

Wymijająco wzruszyłam ramionami.

– Ja... zainteresowałam się tematem prac domowych w związku z moim referatem o służących – odparłam.

Angela i Lisa wściubiły głowy przez drzwi.

– No dalej, Charlie! Już prawie koniec przerwy. Co się tak grzebiesz? – zapytała Angela.

– Oczywiście nie chcemy przeszkadzać, jeśli ty i Jamie jesteście bardzo zajęci – zachichotała Lisa.

– Już idę! – zawołałam i energicznie ruszyłam w ich stronę.

Ale wtedy ten idiota Jamie wtrącił się do rozmowy.

– To przyjdiesz do mnie dzisiaj po szkole, tak? – zapytał głośno przy Angeli i Lisie, którym z wrażenia opadły szczęki. Podobnie jak mnie.

– Nie! – zawołałam i wybiegłam z klasy.

Lisa i Angela pobiegły za mną.

– Tak cię tylko podpuszczałyśmy – ale ty naprawdę chodzisz z Jamiem?! – spytała Angela.

– Wybierasz się do niego do domu! – zawołała Lisa. – Co ja bym dała, żeby Dave mnie zaprosił!

– Wcale się nie wybieram do Jamiego Edwardsa – zaprzeczyłam. – Opowiadał mi tylko o jakichś strasznie nudnych wiktoriańskich powieściłach i chyba uznał, że zgłupiałam na tyle, że mogłabym chcieć je obejrzeć – kiedy mówiłam te słowa, biło mi mocniej serce. Wiedziałam, że trochę mijam się z prawdą, ale przecież musiałam coś zrobić, żeby Lisa i Angela raz na zawsze porzuciły ten nedorzeczny pomysł.